

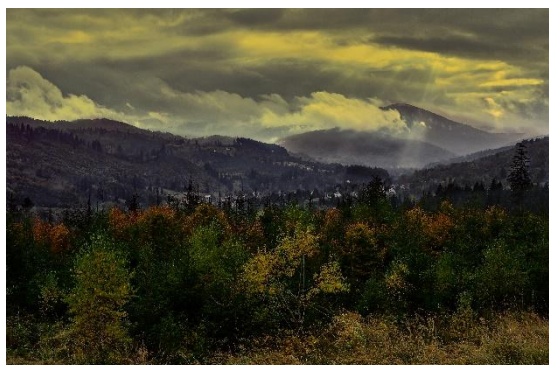


Ujsolskie Panopticum

GMINA UJSOŁY

REGIONALIZM I TOŻSAMOŚĆ

Wstęp



Szum wody, przyrodnicze olśnienia i relaks w otoczeniu dumnych jodeł. Od wieków trwa przygoda człowieka z beskidzką przyrodą. Jej urokliwe zakątki karmią ludzkie zmysły ciszą, która jak mityczny syreni śpiew, wabi zauroczonych wędrowców, zapraszając do świata niezwykłych doznań.

W przestrzeni oczarowań - każdy poczuje się indywidualistą. Upodobania oddychać będą czystym powietrzem. Leśne ścieżki poprowadzą zmęczonego na hale, gdzie wiatr opowiada pradawne historie o pasterzach i ponocnicach. Odwieczna ewolucja przeplatała tutaj losy ludzi, roślin i zwierząt. W niejednym buku drzemie dusza pasterza Michała, który wiosną wyprowadzał owce na *Hole Biegujskom*. Codziennie spoglądając w niebo – modlił się do swojego patrona o zdrowie i szczęście.

Ujsolskie panoptikum podąża tropem regionalnej tradycji i przyrodniczego dziedzictwa. Jest projektem otwartym. Pomoże w wędrówkach, poznawaniu tajemnic i osobliwości Gminy Ujsoly. Zarówno ludzi jak też flory i fauny. Powiedzie w mniej znany mikroświat ludzkich myśli, spersonalizowanych doznań i materialnych dokonań. Każdy, kto zagłębi się autentycznie w jego treść - będzie mógł poczuć się współtwórcą wyjątkowego wydarzenia, które od zawsze nazywa się „życie”. Kto wie, czy też Jego przygoda i refleksje nie zawitają na karty tej opowieści?

Szafran Spiski (krokus)



Szafran – najszlachetniejsza przyprawa świata. Jest w tym stwierdzeniu jakiś ekscytujący sens. Coś, co pobudza zmysły i przekracza granice mnogości doznań. Obudzony z zimowego letargu kobierzec – szuka słońca tysiącami fioletowych punkcików. Ich mnogość ma znaczenie, ale nikt tutaj nie zamierza niczego liczyć. Kwiaty wiosny – mocne charaktery. Emisariusze nowego życia, kwitną dziarsko, jakby ich czas nie był ograniczony. Wola życia i zmysłowe piękno roślin – od zawsze budziły zachwyt i niewoliły swoim czarem. Nic zatem dziwnego, że wiosną rozpoczyna się w górach

Szuka słońca tysiącami fioletowych



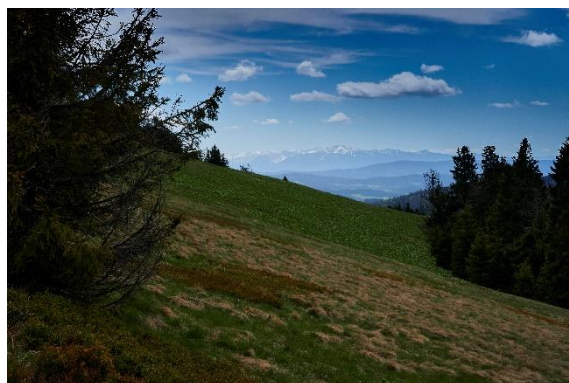
wyjatkowy spektakl. Mała, fioletowa armia gotowa jest na odparcie ataku setek turystów, którzy przyjdąskubnąćroślinom trochę urody. Szczególnie widać to na Hali Rysianka. Namiary na to miejsca łatwo znaleźć w Internecie. Podobnie jak i tysiące zdjęć, które krążą w sieci i mitologizują kwietne dywany. Z czasem potrzeba doświadczenia piękna przekształca się w obowiązek bywania „tu i teraz” i podążania za obowiązującymi trendami. Rzekłbyś, że jak sobie nie zrobisz zdjęcia na tle krokusów na Rysiance, to praktycznie nie istniejesz. Może to i prawda, bo w górach jesteśmy bliżej idei – a bez niej trudniej żyć.

Hale



Hala Bieguńska, Bacmania i Redykalna mają swoje uroki i grymasy. Zimą surowe i chłodne, wiosną i latem toną w soczystej zieleni roślin bliźniczkowych i górskiego szczawiu. Tutaj jakby powietrze było gęściejsze i wystarczy rozłożyć ręce, aby pofrunąć na szczyty Tatr i Małej Fatry. Ziemia pachnie pasterstwem. Zmęczone zmysły

wędrowca wyczuwają charakterystyczny zapach owczego runa. A może ten pejzaż jest tylko wytworem wyobraźni tych, którzy jeszcze pamiętają odległe czasy? Teraz pasterstwo ma się tak sobie. Przed laty hale tętniły życiem. W *kosorach* kłębiły się owce. W szałasie wędziły się oscypki. Zmieniali się ludzie, odchodziły zwierzęta, ale góry pozostawały tam gdzie zawsze. Odwieczny rytm życia nigdy nie przyspieszał i nie zwalniał. Zawsze rok trwał tyle samo. Wiosną był redyk i szedł kierdel ku wierchom. Jesienią Święty Michał kończył podniebne gazdowanie i *łosadzoł* zwierzęta ich właścicielom. Prastarzy pasterze czynili sobie ziemię poddaną i nadawali nazwy halom. Bacmania



od wołoskiego *bacy* – opiekuna owiec, i niemieckiego *Mann* – czyli mężczyzny. Redykalna kojarzona odwiecznie z redykiem. Tylko Bieguńska była inna. Tutaj przed laty często zaglądał dumny hetman Bury, który na pobliskich Zbójnickich Dolinach wybudował sobie gazdówkę. On sam i jego kompani przebywali w niej, kiedy im zbójnictwo dawało się we znaki i trzeba było

zregenerować siły. Burego pojmano w Milówce

i stracono w Żywcu. Jego sława przeminęła z halnym. Prawie nikt już nie wie, jak znaleźć Zbójnickie Doliny – a hale i ich nazwy będą żyły – jak może się wydawać - wiecznie.



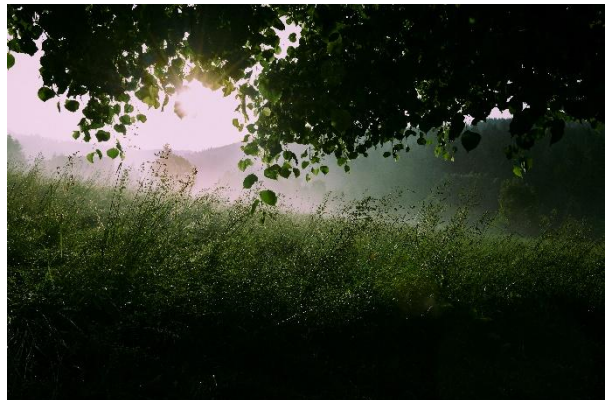
Karpackie Strefy Mocy

Gdzieś za zakrętem, w leśnej głuszy można się zgubić. Zdarzało się to często nie tylko obcym, którzy w góry przyszli szukać przygody, ale także miejscowym. Tym ostatnim wydawało się, że jeśli są u siebie, to nic im nie grozi. Jednak było inaczej. Skrzyżowanie pasm górskich

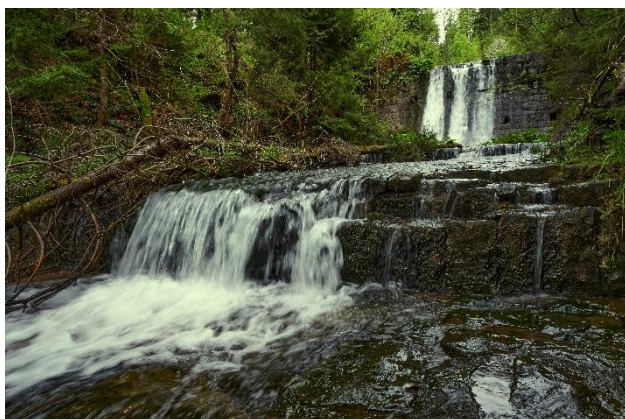
zaburzało pole magnetyczne i dawało się ludziom we znaki. Błądzili i nie mogli znaleźć drogi do domu. Później w długie zimowe wieczory opowiadali swoim bliskim i sąsiadom, jak ich „wodziło”. Ten sugestywny obraz zapadał głęboko w pamięć. Dawał wyobrażenie jakiejś tajemnicy i czegoś, co nie ma prawa się zdarzyć, a jednak istnieje. Często rzucona w przestrzeń historia, zaczynała żyć swoim życiem. Była wielce prawdopodobna, ale jakby nierealna. Dzieci słuchały z otwartymi ustami, dorośli natomiast snuli domysły. Do dzisiaj jest takich miejsc w Gminie Ujsoty wiele. Niektóre jednak odeszły już w zapomnienie. Umarli ci, którzy znali ich lokalizacje. Pozostałe albo zarastają w odosobnieniu drzewami, albo skrywają swoje sekrety.

Nikt o nich nie rozmawia. Czasem ktoś dziwnie się „tam” poczuje. Usłyszy tajemniczy szelest i doświadczy irracjonalnego zaniepokojenia. To właśnie są Karpackie Strefy Mocy. Łatwo się tu zgubić, choć w dobie cyfrowych map i innych lokalizacyjnych nowinek – prawie każda droga i ścieżka zostały już narysowane. Umiera powoli pamięć legendzie, jednak jej duch jest wiecznie

żywy i trwa w miejscach takich jak choćby „Wiertelówka”, „Świtkowa”, „Oszast” czy „Jaworzyna Ujsolska”. Kto tam zabłądzi paradoksalnie odnajdzie drogę do karpackich mitów i stanie się na chwilę częścią jednego z nich.

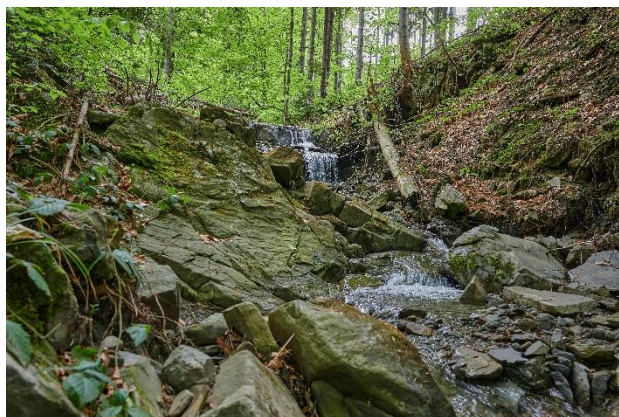


Wodny świat



Po wielkiej powodzi, która nawiedziła Żywiecczynę pod koniec pięćdziesiątych lat ubiegłego wieku – nastąpiła era betonu i kamieni na górskich potokach. Bystre, górskie strumienie zwalniały. Nurt spiętrzyły zapory i progi wodne. W małym przysiółku Huta jest ich kilkanaście. Mniejsze i większe. Na Śmierdzącym Potoku, Zającowym Potokui na Bystrej. Ta ostatnia toczy swoje wody gdzieś spod Hali Rysianka, z Głębokiej Rastoki od Złotnic. Na Szerokim Kamieńcu rozlewa się

i później swój urokliwy szmer zamienia na wyraźny szum spadając z kolejnych sztucznych kaskad. Przyjezdny zaczyna dotykać rzeki swoimi zmysłami. Na początku szum dominuje, włącza się w każde słowo i rozprasza myśli. Szczególnie w nocy, kiedy latem przy otwartym oknie próbuje zasnąć. Z czasem hałas lekko słabnie i przyzwyczajają do siebie. W kolejnych dniach staje się powiernikiem wieczornych, przedśennych myśli i melodią na dobranoc. Jest synchronią przyrody i diachronią natury człowieka. Towarzyszy wędrówką po leśnych ścieżkach i *holnych drogach*. W bezimiennej czasoprzestrzeni, szmer wody dla każdego zaczyna coś znaczyć. Skądkolwiek nie wyruszysz – woda jest blisko i do niej zawsze się wraca. Jej echo to szum – a Ty nazywasz ją po prostu po swojemu.



Tam gdzie wiara wytapiała szkło (huta szkła)

Kiedyś przed laty rządy Wielopolskich i Habsburgów zawitały do małej, ukrytej głęboko w lasach wioski.



Ta malownicza miejscowość dzisiaj nazywa się Huta. Nikt o wielkich rodach tutaj wówczas raczej nie słyszał, ale obecność czegoś nowego szybko została zauważona. W cykliczne, prawie monotonne życie Górali, wkroczył jazgotliwy przemysł. Przyjechali fachowcy z Austrii i Niemiec. Zbudowali hutę szkła za wodą, trochę jakby na siłę. Powstał przemysł i dziewiętnastowieczny industrializm zapukał do małych,

góralskich chałup. Szorstka mentalność pasterzy i drwali wyszła naprzeciw nieznanemu. Miejscowi chętnie najmowali się do pracy przy dostarczaniu drewna do huty. Szklarze fachowcy, którym pracodawcy wybudowali służbowe chałupy, szybko zaczęli integrować się z miejscowymi. Od słowa do słowa – od spotkania do spotkania - zwłaszcza w karczmie w Rajczy, gdzie hutnicy chodzili do kościoła – w metrykach parafialnych pojawiły się obcobrzmiałe nazwiska. Grazel, Nawratel, Kotulek, czy Hubka. Przez ponad pięć dekad, co rano w hucie dzwonił dzwon, który oznajmiał początek nowej zmiany. Przez pasionki z południa spała się gromadka Orawców. Lekko zaspani i zdyszani gnali do pracy. Jeszcze tylko modlitwa o szczęśliwą zmianę przed figurką Bożej Męki i można było wytapiać szkło użytkowe. Krzyż stoi do dzisiaj. Pięknie odnowiony upamiętnia żarliwą wiarę hutników i swoich fundatorów Józefa i Feliksa Gotlicherów oraz Jerzego Frenzla. Zielone, białe, niebieskie szklanki, wazony, kielichy, butelki, czasem szklane święte figurki – trafiały na rynki Galicji i na Węgry. Produkcja na początku przynosiła zyski. Pod koniec było już kiepsko i Pani Matka – jak dobrodusznie górale nazywali ostatnią właścicielkę zakładu – musiała zamknąć biznes. Plotka głosiła, że do upadku huty przyczynił się hulaszczy tryb życia synów właścicielki.



Do dzisiaj wiara i pamięć o pokoleniu *hociorzy* jest obecna w życiu mieszkańców Huty. Rodzimi wspominają, stare dobre czasy. Cały czas tętni życie – a kolejne sekwencje genów dziedziczą

urodęgóralskich smagłych dziewczyn i intelekt ówczesnych pionierów hutniczej techniki. Ci ostatni przed laty integrując się z „ogorzałymi” autochtonami – nie tylko przyjmowali ich tradycje, ale nierzadko wnosili w związki małżeńskie rodzime obyczaje i zachowania. Dawny, cudowny świat można jeszcze odszukać oczami wyobraźni, wpatrując się w pozostałości pieca hutniczego, którego ruiny znajdują się tuż przy początku „Drogi Światła” na Halę Lipowską.

Zbójnickie Doliny

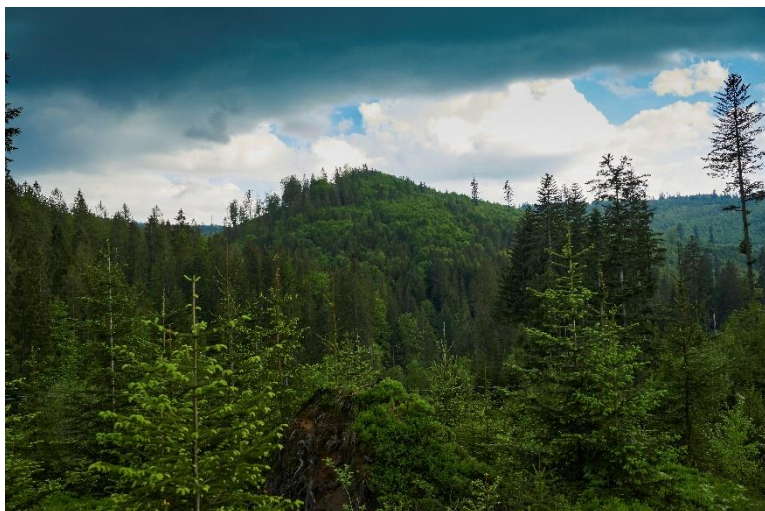


Malownicza równina. Teraz już rzadki las. Soczysta zieleń małych rozlewisk. Kamienie i przestrzeń, po której wędruje ludzka wyobraźnia. W tym miejscu według legendy rozpoczyna się historia Złatnej. Przed wiekami dumny i mocny zbójnicki hetman Sebastian Bury był tutaj ze swoimi kompanami. Odpoczywał po trudach zbójowania – a jego drużyna rachowała łupy wyszabrowane z dworów i pałaców

Żywiecczyny, Orawy czy Kisuc. Burego pojmano w Milówce z jego kompanami. Z zasadzki cudem uszło z życiem dwóch braci. Zbójnicy pamiętali o gazdówce w górach i o schowanych w gęstwinie skarbach. Uszli pogoni i skryli się tutaj na kilka lat. Dziewczyna, którą zabrali ze sobą – córka pojmanego w Milówce współtowarzysza – rozkochała w sobie obydwu. Niestety – tylko jednemu mogła otworzyć swoje serce. Wybrała młodszego i wkrótce też na świat miał przyjść ich syn. Jednak zanim do tego doszło – bracia ruszają na poszukiwanie skarbów, które kończy się dramatem. Ginie wybranek serca dziewczyny, zabity przez swojego zazdrosnego brata kiedy obaj próbują otworzyć skrzynię z kosztownościami. Nienawiść i chciwość w jednym wcieleniu – grzebie szczęście i nadzieje innych. Przeklęte klejnoty ukryte gdzieś na polance pod Borami Orawskimi strzeże do dzisiaj tajemna siła. Miejsce nazywa się Złotnice. Polanka, którą wykarczował blisko tego miejsca syn dziewczyny, staje się prapoczątkiem osady Złatna. Do dzisiaj podobno gdzieś pomiędzy Cerłą, Hutą, Lipowską a Borami Orawskimi, spoczywają te klejnoty skrwawione dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy zbójnicy brutalnie je zrabowali. Później spłynęły krwią

w trakcie braterskich porachunków. Ten tajemniczy i baśniowy świat budzi się czasem do życia na Zbójnickich Dolinach. Gwałtowny powiew wiatru od Pilska i dalej od Babiej Góry i Tatr – studzi wyobraźnię i odradza szukania ukrytych kosztowności. Odczynić zła już nikt nie potrafi a nieczysta siła pilnie strzeże piekielnych tajemnic.

Wina i Kara – Kościelec



Niedzielne kwietniowe popołudnie. Czas Wielkanocy. W góralskiej chałupie roznosi się zapach prażuchów, ledwo zdjętych z blachy. Gorące kluski trzeba ostudzić. Gospodarz niesie je na próg i szybko wraca. W Kościelcu biją dzwony. Domownicy wybiegają z chałupy w pośpiechu. Słychać jedynie ostatnie uderzenie. Opowiedziana relacja wpisuje się w prastarą karpacką legendę o

nieczułych sercach złych ludzi, którzy nie przyjęli pod swój dach wędrującego Pana Boga. Zajęci swoimi sprawami, zmaterializowali uczucia. Chęć zysku i cielesne uciechy determinują ich świat. Za znieczulicę Bóg zamienia w pył miasto i grzebie jego mieszkańców. Pod zwałami ziemi i kamieni nienaruszona pozostaje tylko świątynia. W niej modlą się nieliczni wierni. Raz na sto lat w Wigilię i na Mszę Rezurekcyjną odzywają się dzwony wieży kościelnej, a ich głos przypomina o marności doczesnego życia. Charakterystyczną, strzelistą sylwetkę góry zwanej Kościelcem – zna prawie każdy mieszkaniec Złatnej. Turyści przechodzą obojętnie. Może jednak to się zmieni. Z inicjatywy Gminy Ujsoły wokół góry wyznaczono ponad trzykilometrową ścieżkę spacerową. Jej



nazwa brzmi dumnie: *Dzwony Kościelca*. Może ktoś będzie miał ochotę zajrzeć do źródeł i dowiedzieć się dlaczego akurat dzwony? Legendę pięknie opisał gwarą w „Pogodkach spod Lipowskiej” Wawrzyniec Miesiączek. Kto trafi na karty tej opowieści o gazdach, zbójnikach i złotniańskich samorodkach - pozna niezwykłą historię „ludzi stąd” i ich oryginalną kulturę.

Przemycali wolność– Bory Orawskie

Kochankowie gwiazd. Cisi wędrowcy przemierzający w skupieniu wąskie, leśne ścieżki. Wiecznie z duszą na ramieniu i szeroko otwartymi oczami. Naftowa lampka przy stopach, aby oświetlić drogę i ukryć twarz w ciemności. Tacy byli dawni przemycnicy, którzy do Orawy chodzili po guziki, płaszcze, peleryny, wódkę i Bóg tylko wie po co jeszcze. Nocni wędrowcy, umykali bezwzględnemu podporządkowaniu się twardym zakazom. W dzień jawnie spacerowali przed oknami strażnic pograniczników, a w nocy nie pozostawiali po sobie nawet cienia. Od lat pięćdziesiątych do dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zielona granica żyła swoim rytmem. W zimne i szare noce szły przez Orawskie Bory polskie konie, cielęta i byczki. Przemycano wszelkie dobra, które udało się za



granicy dobrze sprzedać. Zwinnym jałówkom obwiązywano racice, aby w transgranicznym błocie nie pozostawiały śladów. Konie nie potrzebowały paszportów. Karczma w Złatnej pełna była tych, co chodzili do mutniańskiej leśniczówki i pili tam panońską palinkę. Komuś przy piwie rozwiązywał się język i opowiadał cały wieczór, czasem też całą noc. Przemyt był wyzwaniem dla wolnych z natury Górali. Przejście przez pilnie strzeżoną granicę, to

był strach i adrenalina. Ale także walka o prawo do wolności. Nie wszystkim udało się wrócić. Żółty szlak turystyczny odchodzący od czarnego na Przełęcz Bory Orawskie był świadkiem dramatu. Przed laty szlaku na granicę nie było. Końcem marca w dolinie potoku Bystra leżało jeszcze sporo przetopionego, grząskiego śniegu. Nie udało się przeskoczyć. Śmiertelny strzał oddany przez pogranicznika. Później już tylko pozostała cisza i legenda. Żal po dobrym człowieku, sąsiedzie i rozpacz rodziny. Granica dzieliła polityków, ale nigdy nie zagroziła góralom ścieżki do swoich orawskich sąsiadów.

